



WOŁANIE

Nr. 21 (25)

Kraków, listopad 1999

WSZYSTKIM TOWARZYSZOM TATRZAŃSKIM I PRZYJACIOŁOM

którzy chcieli pamiętać o moich 90 latach i
odznaczeniu Krzyżem Komandorskim

Polonia Restituta w ramach Jubileuszu

TOPR 1999-03-13

składam poprzez przez WOŁANIE

SERDECZNE PODZIĘKOWANIA

Prezes Honorowy PTT

Maciej Mischke

SPIS TREŚCI:

- | | |
|---|---------|
| 1. Gdyby to nie był Prezes
<i>Maciej Mischke</i> | str. 7 |
| 2. 90 lat górskiego żywota Macieja Mischke
<i>Barbara Morawska-Nowak</i> | str. 8 |
| 3. Jerzemu Turowiczowi
<i>Maciej Mischke</i> | str. 13 |
| 4. Klub Wysokogórski Winterthur
<i>Jerzy Hajdukiewicz</i> | str. 15 |
| 5. Górami pisane
<i>Józef Tischner</i> | str. 28 |

Od maja 1987 roku ukazało się 25 zeszytów WOŁANIA

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział w Krakowie, Członek wspierający TOPR. **Adres dla korespondencji:** Andrzej Słota, 30 -150 Kraków, Armii Krajowej 83/131. **Telefony:** 638-01-54, 0602 62-53-03, **E mail:** slota @ tf.com.pl.

Lokal: Dom Kultury „Podgórze” ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 -19 30.

Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke.

Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162809-270-1-111

PTT, Oddział Kraków, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162942-270-1-111

Emblemat na okładce rysowała: Zofia Nowak

Skład komputerowy: Andrzej Słota

PL ISSN 0660-8679

Do druku oddano 13 maja 1999

WOŁANIE

Biuletyn szkoleniowy
dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego
i członków wspierających TOPR



Sypią się nam ostatnio jubileusze. W roku ubiegłym obchodziliśmy 125 lecie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego powstałego w roku 1873. Okrągła to rocznica - przypominająca o starych, pionierskich latach, kiedy to ludzie epoki doktora Chałubińskiego uczyli się Tatr, stopniowo odkrywając ich skarby.

Lecz tego roku jubileusz jest równie wysokiej rangi. Niedawno Nasz Prezes Maciej Mischke - piastujący godność Prezesa Honorowego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego ukończył 90 lat. Sędziwe lata - w ogromnej części spędzone w górach i górom poświęcone.

Urodziny Prezesa zbiegły się z kolejnym jubileuszem. Dziewięćdziesiąt lat temu powstało Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, którego inicjatorem i głównym założycielem był generał Mariusz Zaruski - taternik, zdobywca wielu tatrzańskich ścian i szczytów, w latach późniejszych - znakomity żeglarz, po Kampanii Wrześniowej internowany w ZSRR, gdzie wycieńczony i schorowany zmarł w 1941 roku w Chersoniu.

Nasz Prezes również w roku 1959 złożył uroczyste ślubowanie zostając członkiem Grupy Tatrzańskiej GOPR. Z okazji jubileuszu stanął niedawno w szeregu z innymi zasłużonymi ratownikami TOPR-u; Józefem Uznańskim, Michałem Gajewskim i Antonim

Janikiem, których odznaczono przyznaniem przez Prezydenta RP Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Sama uroczystość odbyła się w Kościelisku, w hotelu Siwarne.

Niefortunny mariaż z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym w roku 1950 zmienił nieco profil działania przedwojennego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Powstałe PTTK było organizacją nastawioną na modną wówczas i zgodną z duchem epoki „turystykę dla mas”, która później po latach okazała się zgubna w skutkach nie tylko dla samej przyrody, lecz również dla swobody górskiego wędrowania.

Dlatego, gdy po Sierpniu nadarzyła się okazja dokonania odnowy w narodzie - Nasz Prezes wespół z innymi usilnie starał się o reaktywowanie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, organizacji poświęconej wyłącznie górcom, skupiające w swych szeregach ludzi, którzy w swych pasjach dążyli do emocjonalnego i bardziej osobistego obcowania z górą. 13 grudnia 1981 roku zatrzymał proces reaktywowania się PTT. Pozostały nieformalne spotkania w gronie ówczesnego Tymczasowego Zarządu.

Gdy po odwołaniu stanu wojennego organizował się Oddział Krakowski PTT Maciej Mischke został jego prezesem. Niestety mimo odwołań do Naczelnego Sądu Administracyjnego ówczesne władze nie wyraziły zgody na reaktywowanie PTT i w lutym 1984 przyszedł nakaz rozwiązania Tymczasowego Zarządu i wszystkich struktur Towarzystwa. Wkrótce zaczęły się spotkania zwolenników reaktywowania dawnego PTT, którzy uznali Macieja Mischke swoim liderem. Kilkuletnie przedzierania się przez meandry przepisów i zarządzeń administracyjnych zakończyły się wreszcie sukcesem 9 grudnia 1988 roku. Towarzystwo Tatrzańskie uzyskało wówczas status prawny, a rok później Maciej Mischke został prezesem całego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Towarzysze Tatrzańscy licznie przybyli na urodzinowe spotkanie z Prezesem. Były życzenia, gratulacje, toasty, wspomnienia z chwil wspólnie spędzonych w górach. Nastrój świąteczny udzielił się wszystkim. Nazajutrz w krakowskiej prasie ukazała się okolicznościowa notatka.

O jubileuszu nie zapomnieli również dawni towarzysze broni. Po klęsce wrześniowej losy wojenne rzuciły Naszego Prezesa do Francji, gdzie walczył w I Dywizji Grenadierów. Z tej okazji otrzymał od Związku b. Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie okolicznościowe gratulacje.

Nasze piśmiennictwo też ma swój „okrągły” jubileusz. Obecny numer to kolejny - dwudziesty piąty. WOŁANIE powstało dzięki z inicjatywy Prezesa. On to od maja 1987 roku pełnił funkcję naczelnego redaktora. W roku 1995 przekazał redakcję w inne, młodsze ręce.

WOŁANIE w zasadzie nie zmieniło swej dawnej formy. W dalszym ciągu zajmuje się sprawami turystyki, ochrony przyrody i wszystkim tym co z górą jest związane. Informuje o nowych pozycjach wydawniczych ukazujących się na rynku. Kultura, literatura związana z górą, a Tatrami w szczególności zajmuje poczesne miejsce. Jest odbiciem naszych górskich doświadczeń, wspomnień, pragnień.

Jedynie z powodu półrocznych odstępów w wydawaniu każdego numeru - funkcję informacyjną, związaną z najnowszymi aktualnościami ze świata gór przejęło CO SŁYCHAĆ, jako że nasza ogólnopolska (już setna) gazetka ukazuje się co miesiąc.

Kochany Nasz Prezesie! - Chwała Ci za to co uczyniłeś. Dzięki Tobie - Polskie Towarzystwo Tatrzańskie istnieje w obecnej formie. Za wszystko co zrobiłeś dla naszego, Odrodzonego PTT, dla wszystkich nas - zakochanych w górach

Tatrzańscy Towarzysze z Oddziału
Krakowskiego
- składają Ci serdeczne dzięki.

Gdyby to nie był Prezes...

co relacjonował „Absolutny rekord” (Wołanie Nr 20/24) - to nie wierzyłem.

Choć... przypomina mi się opowiadanie o przygodzie jakiegoś cepra, który laził z Kondratowej do Kuźnic 12 godzin. Albo inne opowiadanie, jak Pogotowie znalazło w Suchej Kasprowej faceta zagrzebanego po pas w śniegu. A więc?

Sam wspominam przygodę z lat trzydziestych. W Murowańcu gospodarzyły warszawskie damy. Sypialnie były wtedy jeszcze przed rozbudową, na parterze. Przyszedłem do schroniska zmoczony do suchej nitki. Ktoś znajomy wprowadził mnie do swojej izby, żebym się osuszył. Zdarłem z siebie mokre szmaty, a tu pokojówka z wrzaskiem, że nie wolno we dnie siedzieć w sypialni. Uratowało mnie, że byłem golusieńki. Dziewczyna zawstydzila się i uciekła z wrzaskiem. Tempora mutantur. A więc?

Albo wspomnienie z roku 1981. Do Klubu Wysokogórskiego przyjechało na wymianę trzech alpinistów z Heidelbergu i ja miałem ich zaprowadzić do MOka. Wyszliśmy z Kuźnic o 11.40, a na Hali, gdzie miał być nocleg byliśmy o 16.00. W Pięci musieliśmy także nocować...

A więc... przestałem się dziwić, że Prezes prowadził swoich; dwóch dorosłych, sto kilo bagażu plus dwunastoletnia dziewczynka przez 12 godzin.

A więc... tytuł tej notatki winien brzmieć po prostu: Opowiadanie Prezesa.

Maciej Mischke



90 lat górskiego żywota Macieja Mischke

Urodził się 11 marca 1909 roku w Czerniowcach, na Bukowinie, w najdalej na południowy-wschód wysuniętym cyplu II Rzeczypospolitej. Gdy miał cztery lata, w 1913 roku zamieszkał wraz z rodziną w Zakopanem i od tego czasu żył pod urokiem Tatr. Jego ojciec - znany zakopiański stomatolog, też był członkiem Towarzystwa Tatrzańskiego.

Będąc dzieckiem chodził na spacerzy w dolinki, potem kolejno na Halę Gąsienicową i do Czarnego Stawu, który wywarł na chłopcu niezatarte wrażenia. Spacerzy odbywały się w gronie rodziny i przyjaciół domu, ale największym autorytetem uznawanym przez niego za swego mistrza był starszy o 10 lat brat Kazimierz. Taka przeżyta przez niego osobiście droga do gór była dla niego wzorcowa - zawsze uważał, że najlepszym jest indywidualny sposób wprowadzania młodego człowieka w góry; relacja mistrz - adept.

Urodził się w roku założenia Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Może dlatego problemy bezpieczeństwa w górach i ratownictwa były mu zawsze bliskie. Sam pamięta założyciela Pogotowia i pierwszego naczelnika Mariusza Zaruskiego, który mieszkał niedaleko w willi „Krywań” na ul. Ogrodowej, w sąsiedztwie rodziny Mischków. Jako kilkuletni chłopiec patrzył się na niego z podziwem.

- Na nartach zacząłem jeździć w roku 1918 - wspomina, ale już „nową” szkołą - z dwoma kijkami.

W Zakopanem z nartami żyło się na co dzień.

Na nartach jechało się do szkoły - do gimnazjum „Liliana”, po lekcjach szło się z koleżankami na Antałówkę, podchodziło się wytrwale na Halę Gąsienicową i wyżej by potem szusować...

Beztróskie szkolne lata dwudzieste przeżyte pod Tatrami szybko minęły.

Brat Kazimierz pracował wówczas w Borysławiu i być może to zdecydowało, że nie Kraków a Lwów stał się miastem uniwersyteckim Macieja. Nie był to uniwersytet, a Politechnika Lwowska, uczelnia w okresie dwudziestolecia o najwyższym poziomie. Na Politechnice Maciej studiował budownictwo.

Dokładnie ale i niespiesznie, jak wspomina - siedem lat. Zresztą czyż warto się spieszyć? Można było w tym czasie jeździć w góry latem, zimą, poznawać Karpaty Wschodnie, a poza tym bywać w Zakopanem i Tatrach. Można było się bawić i używać życia.

W tych latach na Politechnice Lwowskiej nie studiowało wiele dziewcząt, ale i tak Maciej wśród nich upatrzył sobie taką jedną Danusię i to „upatrzenie” zostało na całe życie. Narzeczoną oczywiście trzeba było wprowadzić w Tatry. Chrzest bojowy - jak wspomina - przeszła z nim na północnej ścianie Mięgusza;

- Mielimy noc przedślubnom w ścianie i burzy, woda lała się za kołnierz, a wychodziła butami...

Trzeba było zakończyć te studia, pomyśleć o odpowiedniej posadzie i ożenku. Pobrali się w 1937 roku i zamieszkali w Krakowie, stąd było bliżej do Zakopanego i Tatr. Zamieszkali na ulicy Kapucyńskiej 5/7. Tak jest i dziś.

Szczęście nowożeńców nie trwało długo. Nadszedł rok 1939. Maciej wyruszył na front. Niemcy parli na wschód i tym sposobem Maciej z armią znalazł się w kraju swych narodzin.

Pamiętam jak w czasie jednego z naszych oddziałowych wyjazdów, na wieczornych posiadach u ojca Leonarda na Wiktorówkach, opowiadał nam swoją wojenną epopeę.

Jego jednostka na szczęście nie wpadła w objęcia „wyzwoleńczej” armii sowieckiej. Udało mu się wydostać do Rumunii. Stąd po paru miesiącach przez Jugosławię i Włochy dotarł do Francji, do I Dywizji Grenadierów.

W 1940 roku Hitler wkroczył do Francji, a ta szybko skapitulowała. Maciej z kolegami przekroczyli granicę francusko-szwajcarską. Tu zostali internowani i znaleźli się w obozie w Winterthur. Pobyt w obozie stał się okazją do poznania Alp. Tak pisze później:

[...] Los był dla mnie łaskawy pozwalając uganiać mi się po szczytach za mirażem szczęścia, w czasie wojny [...].

W obozie Winterthur spotkało się kilku taterników. Między nimi był Jerzy Hajdukiewicz. Dnia 15 marca w czasie wycieczki na Piz Sol powołali Klub Wysokogórski Winterthur. Klub zrzeszał

7 członków honorowych, 23 zwyczajnych (w tym 6 założycieli) i 4 nadzwyczajnych. W ciągu czterech lat działalności członkowie Klubu odbyli 162 wyprawy letnie i zimowe z 237-ma wejściami, z czego 26 na szczyty czterotysięczne.

Maciej został prezesem. Być może już wtedy odkrył w sobie „prezesowską żyłkę”. Prowadził skrupulatnie kronikę i pisał pamiętnik. Dzięki temu możemy dziś czytać jego wspomnienia publikowane w kolejnych tomach Pamiętników PTT (patrz tom VI i VII). Klub wydał też pięć zeszytów Taternika.

Największym jednak szczęściem w okresie internowania było zdobycie przepustki i wykorzystanie jej na alpejską wyprawę, by wspiąć się po śniegu na szczyt, a potem zjechać na nartach. Zdarzały się też kary za spóźnione powroty z alpejskich eskapad. W tym przypadku nie dostawało się przepustek przez czas jakiś.

No cóż? Zostawało tylko łakome i tęsknie spoziewanie z nad zagonów na dalekie góry. W Winterthur zawiązywały się przyjaźnie, które przetrwały lata. Wśród Szwajcerek trafiały się miłe dziewczęta, które wodziło się po alpejskich graniach.

Wojna się skończyła, trzeba było podjąć decyzję o swym dalszym losie. Maciej postanowił wrócić do kraju, do Krakowa, gdzie cierpliwie czekała Dana. Wtedy dopiero, po dziesięciu latach małżeństwa urodził się w 1947 roku ich jedyny syn - Wojciech. Tworzyli szczęśliwą rodzinę.

Drugim ich rodzinnym domem była zakopiańska willa „Baśka” przy ul. Witkiewicza, z której stale wychodzili w Tatry. W lecie wspinaczka, w zimie narciarstwo wysokogórskie. Maciej stał się propagatorem krótkich nart znacznie wygodniejszych do jazdy terenowej, nazwanych od jego nazwiska „miskami”. Syn rósł i stawał się towarzyszem ich górskich wypraw, dumnie nosił plecak i buty jak tata, od wczesnego dzieciństwa jeździł na nartach.

Ulubionym terenem penetracji taternickiej Macieja były Tatry Zachodnie, zwłaszcza Czerwone Wierchy. Zrobił tam i opisał szereg pierwszych przejść. Wszystkie wyjścia w góry skrupulatnie notował, łącznie z czasami przejść i warunkami pogodowymi. Czterdziestoletnie obserwacje pogodowe pozwoliły mu na syntezę - określenie granic sezonów tatrzańskich (Wołanie, maj 1988).

Po powrocie do kraju Maciej wstąpił do Krakowskiego Koła Klubu Wysokogórskiego. Równorzędny stażem wielu kolegom, był od nich starszy wiekiem i doświadczeniem. W Klubie często zajmował się szkoleniem, bywał kierownikiem kursów i obozów taternickich.

Środowisko klubowe dało mu wielu partnerów i przyjaciół, choć najczęstszym i najwierniejszym partnerem eskapad letnich i zimowych była zawsze żona. Działal w zarządach klubowych, był przez krótki okres czasu redaktorem Tatarnika, który się nie ukazał. Było to wyrazem represji klubu ze strony ówczesnych władz, które chciały podporządkować taternictwo Polskiemu Towarzystwu Turystyczno Krajoznawczemu. Próby były krótkie i nieudane. W 1956 roku taternicy uzyskali swą niezależność organizacyjną.

Niezbyt dobrze pamiętam Macieja z połowy lat pięćdziesiątych gdy sama zaczęłam się wspinać. Maciej chodził swoimi drogami, mniej już bywał w Podkrakowskich Dolinkach, a w zarządzie Koła przestał działać. Oczywiście trudno było nie zauważyć tego postawnego pana.

Maciej udzielał się również w środowisku zakopiańskim, gdzie mieszkał i pracował jego dawny partner alpejski Jerzy Hajdukiewicz. Został też ratownikiem - ochotnikiem, w roku 1959 złożył uroczyste ślubowanie i odtąd przy każdej bytności w Zakopanem był w gotowości. Często dyżurował w schroniskach.

Kiedyś na zebraniu klubowym użalałam się na brak partnerów do wspinaczek. Jakiś czas później zadzwonił do mnie Maciej ofiarowując swe towarzystwo. Teraz ja nie mogłam skorzystać, gdyż właśnie zaczął się właśnie dla mnie okres tworzenia rodziny, chowania dzieci, okres wakacji w górskich miejscowościach, spacerów i wycieczek rodzinnych.

Za ówczesny swój wyczyn uznałam wówczas wyniesienie w nosidle na plecach dwuletniej Ani z Murzasichla na Halę Gąsienicową, do Czarnego Stawu i przeniesienie jej przez Karb do Stawów Gąsienicowych po drugiej stronie przełęczy. W wyprawie brała udział cała rodzina.

W listopadowy wieczór 1981 roku spotkaliśmy się z Maciejem w Klubie pod Gruszką. Ucieszył się na mój widok. Było to po proklamowaniu reaktywowania PTT przez Sejmik Obywatelski, w którym brał udział. Odbyło się zebranie informacyjne i zapisy do Oddziału Krakowskiego.

Stan wojenny przeszkodził organizowaniu oddziału. Maciej jako członek Zarządu Tymczasowego uczestniczył w jego nielegalnych posiedzeniach, które miały miejsce w Klubie Wysokogórskim na Długiej. Denerwowało go na tych zebraniach nadmierne gadulstwo. Wolał konkretne działanie.

Po odwołaniu stanu wojennego można było powrócić do ponownego organizowania Oddziału, Zarząd Tymczasowy wystąpił o rejestrację PTT. Inicjatywa wówczas była w rękach młodego Mariana Zurzyckiego. Nawiązywał kontakty z ludźmi, którzy zgłosili w 1981 roku akces do PTT. Gdy przyszedliśmy na Limanowskiego zapytał, czy chcielibyśmy działać w Oddziale.

- Ja nie, ale żona lubi takie rzeczy - odparł mój mąż.

Marian uznał, że prezesurę należy oddać osobie z górskim doświadczeniem i autorytetem. I tak w trójkę z Maciejem rozpoczęła się organizacja pierwszego walnego zgromadzenia Oddziału Krakowskiego PTT. Odbyło się ono 23 lutego 1983 roku. Maciej wkrótce został prezesem, a ja sekretarzem Oddziału.

Tymczasem nie powiodły się próby rejestracji, przyszedł nakaz zaprzestania działalności PTT. Po rozwiązaniu - wielu członków łącznie z ówczesnym prezesem Zarządu Tymczasowego zniechęciło się i odeszło. Inicjatywa pozostała na dole - w ośrodkach terenowych PTT. Zaczęły się coroczne spotkania przedstawicieli byłych ośrodków PTT, a następnie ponownie podejmowano inicjatywy zmierzające do rejestracji Towarzystwa. Maciej stał się w tym gronie niekwestionowanym liderem. Ja - jego najbliższym współpracownikiem, tworząc zgrany zespół wiodący.

Wreszcie sukces. Rejestracja - choć tylko Towarzystwa Tatrzańskie w Katowicach. Ponownie przejęliśmy z Maciejem inicjatywę, gdyż w tym początkowym okresie zanosilo się na rozmycie działalności. Doprowadziliśmy do zwołania I Zjazdu Towarzystwa, na którym proklamowano powrót do nazwy

„Polskie Towarzystwo Tatrzańskie”. Osiemdziesięcioletni już wówczas Maciej został pierwszym prezesem odrodzonego PTT.

Był jeszcze czynny, chodził na górskie wycieczki, jeździł na nartach. Brał wraz z żoną udział w wielu górskich spotkaniach Oddziału - w Tatrach, Beskidach, w tym na naszym ulubionym Bereśniku. Śpiewy i gawędy przy ognisku, a nawet tańce wypełniały przemile wieczory.

Teraz już gorzej mu się chodzi, narty odstawił w ką, ale i tak trzyma się świetnie i pomysłu ma lepszy od niejednego „młodego”. Po dwóch kadencjach prezesowania oddał władzę w Towarzystwie w młodsze ręce. Ostatni Zjazd PTT nadał mu godność Prezesa Honorowego.

W 90-te urodziny, które prawie zbiegły się z obchodami 90-lecia TOPR-u spotkał go wielki zaszczyt. Na wniosek TOPR-u odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, przyznany przez Prezydenta RP. Otrzymał gratulacje od Burmistrza Zakopanego.

Barbara Morawska-Nowak

Jerzemu Turowiczowi

Towarzysze Tatrzańscy z Krakowa obchodzili w marcu moje dziewięćdziesiąte urodziny.

Te 90 lat to: okres lwowski, krakowski, wojenno - alpejski i najdłuższy - zakopiański. A w każdym z tych okresów pojawia się niezłomny filar w osobie Jerzego Turowicza. Musieliśmy zetknąć się w Odrodzeniu i w latach trzydziestych, we Lwowie na Politechnice.

Zapewne dlatego na początku okresu krakowskiego w roku 1946 - zaraz po powrocie z internowania w Szwajcarii odnowiłem znajomość z Turowiczem. Zgłosiłem się wtedy do Redaktora z genialnym (jak sądziłem) pomysłem, by rozwozić wpływy komunistyczne przez masowe „przystępowanie do partii”. Na szczęście Jerzy wybił mi to z głowy, przypominając „dyktaturę” proletariatu.

Inny incydent. Zjawiłem się u Jerzego Turowicza z datkiem na cele KOR. Ledwie wymówiłem to trefne słowo - Redaktor zaczął coś gryzmolić i podsunął mi kartkę:

„Ściany mają uszy”. W redakcji Tygodnika Powszechnego. Przykro wspomnieć, ale takie były czasy. Uszy były wszędzie.

Z własnych doświadczeń pamiętam inną rozmowę. W pewnym czasie „lubiła” ze mną rozmawiać Bezpieka. Pytano mnie, dlaczego nie chcę iść na pochód 1 Maja. A było to tak.

Do biura przyszedłem z laską. Na korytarzu spytał mnie ktoś. Żartując powiedziałem, że okulałem, by nie maszerować. Już nazajutrz w Bezpiece wiedzieli o tak ważnej sprawie...

Umiejscowienie Turowiczowego „filara” w okresie zakopiańskim jest trudniejsze. Przede wszystkim dlatego, że okres ten trwa najdłużej - od 1913, czyli mojego czwartego roku życia. W zasadzie - od tamtej pory trwa do dziś. Po okresie studiów we Lwowie w Zakopanem i Tatrach spędzałem ferie świąteczne i wakacje letnie. W okresie „krakowskim” co trzeci weekend byłem w Tatrach. Okres „wojenny” był w zasadzie przedłużeniem okresu zakopiańskiego, tyle że w Alpach - na wysokości dwa razy większej.

Z internowania w Szwajcarii przywoziłem masę wspomnień, które w Tygodniku Powszechnym chętnie publikował Jerzy Turowicz. Wydaje mi się, że w tamtym czasie moje wspomnienia zza „żelaznej kurtyny” przynosiły tak potrzebny powiew wolności. Może w ten sposób odbierał je Redaktor Turowicz, skoro jeden z moich reportaży opatrzono podtytułem „Zamiast Kisiela”. Jakże byłem z tego dumny.

I w ten sposób Jerzy Turowicz wkroczył w problematykę alpinistyczną, tatrzańską, tym samym łącząc się z odnową Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z roku 1988.

Maciej Mischke



KLUB WYSOKOGÓRSKI WINTERTHUR ¹

Sytuacja moja w Obozie Uniwersyteckim Winterthur była pod wieloma względami nietypowa, można by wręcz rzec paradoksalna.

Po dwu wypadkach spowodowanych przekroczeniem godziny policyjnej, a przede wszystkim ewenementem bez precedensu, jakim była bijatyka w restauracyjnym ogródku, nasze rodzime władze obozowe oświadczyły wszem i wobec, że koniec z tymi, którzy hańbią dobre imię i tak dalej, ale tu z jednej strony ujął się za mną szwajcarski komendant obozu, człowiek dla którego byłem całkowicie nie znanym mu szeregowym żołnierzem obcej armii, z drugiej zaś strony zbyt dobrze zdałem egzaminy, aby mnie można wylać z obozu. Do tego doszedł jeszcze jeden ważny element, a mianowicie gdy do obozu Winterthur przybył generał Prugar Ketling, aby dokonać dekoracji, adiutant generała wyczytał też i moje nazwisko, stanąłem w szeregu, generał przypiął mi Krzyż Walecznych, uścisnął dłoń i ucałował policzek.

Cóż więc można było począć z takim Hajdukiewiczem - sami Państwo chyba przyznacie - którego broni szwajcarski major, dekoruje polski generał, a on, tenże kapral z cenzusem, zdaje egzaminy na celująco? Prawda, że trudna decyzja?

Innym paradoksem był fakt, że znajdowałem się w najbardziej alpejskim z alpejskich krajów, a od tych Alp, których mi się tak chciało, że aż mnie skręcało w dołku, byłem bardziej oddalony, niż wtedy, gdy z Janem Staszlem robiłem w lipcu 1938 roku filar Staszla w Granatach, bo już wówczas knuliśmy obaj plany, jak to by wyjechać w Alpy bez oglądania się na zarząd Klubu Wysokogórskiego i przez Wiedeń, Wenecję, Mediolan do Aosty i autokarem pod Mont Blanc de Courmayeur.

Teraz w Winterthur mogłem jedynie chodzić na lesiste wzgórza otaczające zewsząd to sześćdziesiąt tysięcy fabryczne miasto i łudzić się, że zobaczę Clariden (3270), pięknie zaladzony szczyt, oddalony zaledwie o 70 kilometrów i w tym nastroju beznadziei napisałem TRYPTYK.

Pod koniec lata mój Jano Sawicki z sobie jedynie wiadomych powodów opuścił Szwajcarię, a ja zostałem sam ze snami o wielkości

największych gór Europy, które widziałem przed sobą, ale które były dla mnie tak nieosiągalne, jak dla głodnego wędliny za grubą szybą okna wystawowego.

Znalazłem w końcu współcierpiętника, którym był Maciej Mischke, zakopianin, dziesięć lat starszy ode mnie inżynier łądowy, taternik i narciarz.

Maciej miał to, czego ja nigdy nie miałem, a mianowicie prezentację wzbudzającą zaufanie. Przy moim wzroście jego metr osiemdziesiąt dwa i siedemdziesiąt osiem kilo wagi stwarzało kontrast rzucający się w oczy. Maciej znał niemiecki, francuski, trochę angielski i miał sposób bycia, który wzbudzał szacunek. Maciej gdy chciał coś powiedzieć, najpierw się namyślał, potem chrząkał dwa razy i wtedy dopiero zaczynał kwestię. Miał w sobie coś z grand-seigneura w tym znaczeniu, a przy tym był równie napalony na Alpy jak ja.

Ktoś postronny mógłby mi zarzucić, że wpadłem w pewnego rodzaju Alpo-monomanię i na pewno miałby w tym osądzie sporo racji, lecz z drugiej strony trudno nie zgodzić się z faktem, że nie można żyć tylko i wyłącznie fizjologią, anatomią, oraz innymi działami medycyny, bo od tej drugiej skrajności też świra można dostać, a ja chciałem te dwa kierunki pogodzić i co Alpom, to Alpom, a co medycynie to medycynie oddać wedle ważności i dostojeństwa.

Na własną jednak rękę nie mogłem żadną miarą ani też sposobem dorwać się do jakiegoś alpejskiego rajku, gdyż wrota zamknięte były szczelnie, precyzyjnie i nic tu na siłę do zdziałania trzeba znaleźć szyfr otwierający ten szafes skarbów ziemskich, o których doktor Gönter Oscar Dyhrenfurth napisał



¹. Jerzy Hajdukiewicz GÓRY MOJEJ MŁODOŚCI, Iskry - W-wa 1988

jakżeż pięknie i trafnie, że: „góry są najbardziej spektakularnym tworem naszej planety”.

W osobie Macieja znalazłem wspólnika do starań, zdawałoby się utopijnych, ale Maciej nie zniechęcał się, szturmował, szukał dróg, sposobów i forteli, aż w końcu znaleźliśmy pełnego werwy protektora naszych starań i on to nie dosyć, że wyraził swoją cichą aprobatę, to jeszcze pchał nas do czynu i umacniał w planach i poczynaniach.

Tym naszym protektorem i opiekunem był Herman Siegrist, który mimo że awansował tymczasem do rangi podpułkownika, to jeszcze nie zapomniał o mnie i moich perypetiach.

Nie każdy Szwajcar jeździ na nartach i nie każdy jest też alpinistą, ale każdy szwajcarski robotnik i każdy szwajcarski chłop ze wsi ma zrozumienie dla ludzi, którzy bawią się jak dzieci na śniegu, lub wysilają się wysiłkiem skrajnym i nie zawsze bezpiecznym, aby odnieść gdzieś tam w górze jakieś bezużyteczne czy też niepotrzebne zwycięstwo nad własną słabością i niedoskonałością, bo gór nie można zwyciężyć, zdobyć i pokonać, gdyż góry są poza Dobrem i Złem, jak to określił Goethe.

Tak więc Harry Siegrist stał się naszym aniołem stróżem i opiekunem, który pomagał w pokonywaniu przeszkód, jakie napotykał z strony naszych obozowych wodzów, dla których na chodzenie po górach szkoda było butów, tak jakbyśmy w tych komiśnych butach chcieli podbijać Alpy niczym Hannibal w sandałach, ze słoniami i swoim spódniczkowym wojskiem dwieście osiemnaście lat przed naszą erą.

Dwa lata pełne starań, przekonywań, memoriałów i pertraktacji.

Pierwszym przejaśnieniem na tym zachmurzonym horyzoncie były dwa obozy narciarskie zorganizowane i poprowadzone osobiście przez pułkownika Siegrista w zimie 1942 roku. Najpierw na jesieni Siegrist poprowadził dla nas marszobiegę po wzgórzach i lasach otaczających Winterthur, a przyznać trzeba, że tempo dyktował ostre, a potem już w zimie wywiózł nas kilkunastu raz o Ebnat-Kappel, a potem do Engelbergu.

Moja jazda podobała się Siegristowi, więc kazał mi poprowadzić instruktą, któremu sam się też z przyjemnością i bez reszty podporządkował. W Ebnat-Kappel miałem na półku

szwajcarskiego podpułkownika, polskiego majora, docenta ginekologii i położnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktora Tadeusza Kellera i paru oficerów. Docent Keller był cudownym człowiekiem o gołęmbim sercu i wyjątkowej pogodzie ducha, a w obozie Winterthur pełnił funkcję kierownika naukowego borykając się umiejętnie z naszymi wodzami.

Tak więc powoli, krok po kroku, zaczynało coś jakby świtać, nadzieja rosła, czułem przez skórę, że przełom już niedaleko i trzeba jeszcze jednego posunięcia, by zbliżyć się do celu.

I tak oto 15 marca 1942 siedzieliśmy w pociągu pośpiesznym Winterthur-Zurych-Sargans. Było nas pięciu: Romek Golczewski, Staszek Hirsch, Marian Jankowski i ja, no i naturalnie Maciej Mischke.

Celem naszym był popularny narciarski szczyt Piz Sol (2849 m). Ze stacji Sargans 1800 metrów podejścia do schroniska, tu niedługi odpoczynek i jeszcze tego samego popołudnia 600 metrów w górę na szczyt.

Widok ze Szczytu Słońca wspaniały, pogoda marcowa, na horyzoncie Piz Bernina (4049 m) z przesławną Granią Bianco, Sardona, Silvretta, morze gór, wyspy szczytów - to wszystko musi być moje, musi, inaczej gardło sobie poderżnę!

Z siodełka pod szczytem, gdzie zdeponowaliśmy narty palnąłem krechę w kocioł, świst, gwizd i radość pędu, a wieczorem w schronisku Piz Sol (2230 m) wyciągnąłem rocznik „Wierchów”, pożyczony z Muzeum Polskiego w Rapperswilu i odczytałem sprawozdanie Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego z roku takiego, a takiego i w nastroju chwili tatrzańsko-tęskno-podniosłej postanowiliśmy założyć Klub Wysokogórski Obozu Uniwersyteckiego Winterthur.

Dwunastego kwietnia zebranie założycielskie i wybór zarządu: prezes - Maciej Mischke, skarbnik - Marian Jankowski, kierownik techniczny Hajdukiewicz.

Dla Mariana Jankowskiego wymyśliłem jeszcze jedną ważną rolę, a mianowicie oficera łącznikowego. Marian był oficerem i podporucznikiem rezerwy i mógł łatwiej przekonywać naszych obozowych komendantów, na co Maciej jako sierżant

podchorąży, a ja jako zwykły kapral szanse mieliśmy raczej znikome.

24 kwietnia 1942 roku w dniu świętego Jerzego, patrona mojego, statut został przez władze obozowe zatwierdzony.

Przy wieczornym apelu oficer służbowy odczytał punkt mówiący o zatwierdzeniu statutu Klubu Wysokogórskiego Obozu Uniwersyteckiego Winterthur, którego to klubu zadaniem jest „odbywanie wypraw alpejskich w wielkim stylu”.

I cóż się teraz zaczęło dziać! Trzystu chłopca w niskiej betonowej hali naszego Domu Protestanckiej Gminy Kościelnej zaczęło wyc ze śmiechu tarzać się po stołach, przewracać krzesła w konwulsjach rżenia, tłuc pięściami w blaty stołów, a echo od ścian i sufitu tumult potęgowało. Cyrk nie do opanowania, piekło pomieszane z farsą, dom wariatów w sile półbatalionu, dyscyplinę szlag trafił!

Ale ponieważ nasza Ziemia też rodziła się w konwulsjach eksplozji plazmy kosmicznej i też w końcu spokój jaki taki zapanował, tak i tu społeczność obozowa chwyciła za tyżki i dalejże do spożywania kolacji. A poszło po prostu oto, że nam wszystkim poza rogatki miasta nosa nie wolno było wychylić, a tu paru idiotów-matołów-idealistów tak sobie, ni z tego, ni z owego zakłada klub, którego celem jest odbywanie wypraw alpejskich w wielkim stylu.

Wzburzone fale śmiechu wygładziły się, emocje opadły, a klub pozostał i stał się faktem dokonany.

Początki skromne, więcej niż skromne: sprzętu ani na lekarstwo, przepustki na działalność górską w strefie marzeń i nas dwu - Maciej i ja - mający doświadczenie jedynie taternickie. Ale są już jakie, takie szanse, bowiem mamy klub, nasz klub i tego nam już nikt nie odbierze. Pierwsze zasadnicze trudności mamy za sobą, teraz należy jakoś sensownie ukierunkować naszą działalność, wypracować własny styl. Jestem sam i poza Maciejem nie mogę na nikogo liczyć. Muszę ten swój styl wypracować sam. Już mi teraz ani Staszek, ani Sawicki nie pomoże. Nie mam się na kogo oglądać w sytuacji, w której wszyscy patrzą na mnie, na kierownika technicznego klubu.

Myślę, myślę, po nocach sam ze sobą gadam, jedno odrzucam, drugie przyjmuję. Przypomina mi się opowieść Jana Staszka, jak to z Korosadowiczem w trzy doby, 7, 8 i 9 kwietnia dokonał pierwszego zimowego przejścia północnej ściany Mięguszowieckiego Szczytu. Namiot, śpiwory, kilka litrów denaturatu, prowiant, no i sprzęt wspinaczkowy. Trzy biwaki, ostatni na szczycie, po 20 kilogramów na grzbiecie. O nie! Taki alpinizm to nie dla mnie, osiłkiem nigdy nie byłem, pod plecakami, jakie oni wlekli przez tę ścianę, mnie już pierwszego dnia kręgosłup by pękł w trzech miejscach, wyzionąłbym ducha z wyczerpania, lub rzucił się w akcie rozpaczy ze ściany na taflę Morskiego Oka.

A jeśli nie tak, to jak? I tu znalazłem dla siebie pierwowzór klasyczny, doskonały, godny naśladowania. Znalazłem natknawszy się na książkę, biografię doktora inżyniera Willo Welzenbacha, znakomitego monachijskiego alpinisty, pioniera-zdobywcy pięćdziesięciu wielkich lodowych alpejskich ścian.

Welzenbach zmarł przy turni zwanej Głową Murzyna na grani Nanga Parbat w Himalajach 13 lipca 1934 roku, ale pozostawił po sobie oprócz wynalazku, jakim był hak lodowy, godny naśladowania styl, który to styl zapoczątkował przełom w alpinizmie lat międzywojennych.

Po analizie Welzenbacha doszedłem do wniosku, że reguły, na których opierał swe sukcesy były genialnie proste.

Po pierwsze: optymalne warunki.

Po drugie: redukcja obciążenia do rozsądnego minimum, a przez to zwiększenie tempa do granic możliwości.

Jeśli więc mam zamiar do czegoś tam dojść w wielkim alpinizmie na tysiącmetrowych ścianach alpejskich czterotysięczników i to przy moich raczej przeciętnych walorach fizycznych, to muszę na swój własny użytek wypracować taki styl, który by mi to umożliwił. Ogólny kierunek znalazłem u Welzenbacha, reszta należy już do mnie, bez oglądania się na jakąś pomoc. Muszę wreszcie wyjść z okresu ucznia-czeladnika i stanąć na własnych nogach, wyzwolić się i usamodzielnić.

Drogą porównań i spekulacji doszedłem powoli do wniosku, że dobre tempo w alpinizmie nie polega na niebezpiecznym

pośpiechu, na łapu-capu, ale przede wszystkim na tym, aby nie trwonić czasu na niepotrzebne i zbędne czynności, posiadły i narady przy zmianie w prowadzeniu, na stanowisku asekuracyjnym i tym podobne ceregiele.

Widziałem w życiu wielkich chirurgów, którzy operowali spokojnie, elegancko, bez jednego zbędnego ruchu, a przez to szybko i widziałem również takich, którzy rzucali narzędziami, szamotali się z jednego w drugi kraniec pola operacyjnego, wykonywali masę niepotrzebnych ruchów, klęli, a gdy coś nie szło to winę zrzucali na asystę, czy też instrumentariuszkę.

Między chirurgią, a alpinizmem można doszukać się szeregu paraleli i to pod wieloma względami, wróćmy jednak do Klubu Wysokogórskiego Winterthur i naszych alpejskich perypetii.

Sezon letni przyniósł całkiem niezłe wyniki ukoronowane wejściem na Piz Bernina (4049 m), oraz szereg trzytysięcznych szczytów doliny Safien. Klub liczył pod koniec sezonu już dwunastu przeszkolonych członków, zaopatrzenie w sprzęt uległo również pokaznej poprawie.

W zimie 1943 członkowie klubu prowadzili w obozie Winterthur szkolenie narciarskie na szeroką już skalę, a w alpinizmie narciarskim osiągnięto szereg szczytów trzy- i czterotysięcznych, jak Tödi (3620 m) w Alpach Glarneńskich, czy też Mönch (4099



m), Gross Grünhorn (4043 m) i Jungfrau (4158 m) w Alpach Berneńskich.

Tödi, oddalony w linii powietrznej o 70 kilometrów od Winterthur, był dla nas idealnym poligonem narciarskich i letnich poczynań. Tödi jest górą stołową o trzech punktach trygonometrycznych, ale bez jakiegoś wybitnego szczytu. Góra ma płaskowyż, z którego na północ, zachód i wschód obrywają się skalne skarpy ścian, czy też flank.

Najwyżej położona stacja kolejowa to Linthal (650 m), a szczyt Tödi wznosi się o 3000 metrów ponad nią. Proporcje zbliżone do tych jakie występują w Alpach Berneńskich, lub w Wallis. Na Tödi zrobiliśmy z Maciejem właściwie wszystko, co było godne uwagi.

- Nasz wielki przyjaciel Tödi - jak Maciej zwykł był mawiać o tej górze dał nam niezmiernie wiele i to pod każdym względem. Od popularnego, narciarskiego wejścia lodowcem Bifertengletscher, aż po drugie przejście drogi Paula Schafflützela na północno-zachodniej ścianie Piz Rusein (3023 m).

Terenem kursów wspinaczkowych była ruina wierzy Wülflingen na zachodnim krańcu Winterthur, oraz grań Kreuzbergów w wapiennej grupie Alpstein.

Wspaniałe rejony Alp Glarneńskich, Berner Oberlandu i Wallis stwarzały fenomenalne perspektywy dla alpinizmu wiosenno-narciarskiego.

Skromne możliwości finansowe członków klubu, którzy w lwiej części byli podoficerami o niskim żołdzie, kompensowano wyższymi składkami ściąganyymi od oficerów. Sprzętem wspomagali nas znajomi Szwajcarzy, w schroniskach korzystaliśmy ze zniżek.

Kiepsko było z prowiantem, ponieważ wszystko racjonowano z wyjątkiem dziczyzny, bo jej nie było w ogóle. Czarny rynek w Szwajcarii nie istniał. Ale jakoś tam ściubiliśmy serek do serka, puszkę rybek, czy też serwolatkę, bochenek chleba do plecaka i wio w góry. Za to linia dopisywała, chłopcy zgrabni, że hej, nikt nie był zapasiony, ani też przeżarty i nikt nie narzekał, bo w całej Szwajcarii wszyscy podlegali tym samym prawom i nawet Aga Khan, który przebywał wówczas w Zurychu, nie mógł sobie na więcej

pozwoić niż zwykły urzędnik biurowy, nie mówiąc już o kategorii ciężko pracujących, którzy mieli wyższe racje żywnościowe na kartki.

W sezonie letnim 1943 dalszy krok naprzód, a właściwie nie krok, ale skok, gdyż szereg zespołów osiąga wartościowe wyniki na klasycznych drogach lodowych. Maciej Mischke przechodzi z Jurkiem Latoszyńskim słynny nos lodowy na Piz Scerscen (3971 m) w grupie Berniny, a wraz z Romanem Latoszyńskim nową drogę na północnej ścianie Bifertenstocka (3425 m).

Do tego można by jeszcze dorzucić moją własną działalność w Alpach Wallis.

Rok 1944 otwiera przejście północno-zachodniej ściany Biferstenstocka drogą Akademików, dokonane przez Hajdukiewicza, Mischkego i Płotkowiaka.

Drogę Akademików zrobiliśmy w nietypowym, jak na szwajcarskie kantony okresie, a mianowicie w Zielone Świąta. Była to pewnego rodzaju rewolucja dla kilkudziesięciu szwajcarskich alpinistów, którzy tego dnia wybrali się normalnym, narciarskim szlakiem na Tödi i mogli nas obserwować przez cały dzień.

Ściana Bifertenstocka, 1200 metrów wysoka, wznosi się bezpośrednio naprzeciw schroniska Fridolina tak, że dla pohukujących z dołu turystów byliśmy widoczni jak muchy na szybie okiennej, a propagandowej oliwy do ognia dolewali jeszcze nasi dwaj koledzy, Teodor Blachut i Zbyszek Bem, którzy z całym tym konserwatywno-statecznym tłumem poszli na Tödi, bo Tödi to typowa droga na czas Zielonych Świąt, a Bifertenstock przez północną to schizma, obrazoburstwo, ekstrawagancja i jawne wyłamywanie się z reguł ustalonych tradycją.

W ścianie poszło nam niezłe, zawikłane zejście ze szczytu rozwiązaaliśmy bezbłędnie i po dwudziestu dwóch godzinach ciężkiej roboty wróciliśmy po nocy do schroniska.

W drugi dzień świąt z Linthal, wieczornym pociągiem rozjechała się wraz z tłumem turystów wieść o zwariowanych polskich alpinistach po całej Szwajcarii.

Potem przyszedł dzień upragniony i od dawna ostrym treningiem przygotowany, a mianowicie dzień, który przyniósł XV przejście renomowane, nadzwyczaj trudnej, wschodniej

grani Pierwszego Kreuzberga, najtrudniejszej drogi w Alpach wapiennych, jaka była do owego czasu zrobiona przez polski zespół. Pierwszy Kreuzberg, wprost od wschodu, zrobiłem ze Staszkiem Hirschem 13 sierpnia 1944.

Tegoż lata Maciej Mischke i Józek Płotkowiak przechodzą 21 sierpnia grań Triftje na Breithornie (4165 m), a w trzy dni później klasyczną grań Zmutt na Matterhornie (4477 m). Do tego Płotkowiak dorzuca jeszcze 26 sierpnia samotne wejście na Dent Blanche (4356 m), 31 sierpnia Karol Domadzierski, Hajdukiewicz i Mischke wchodzi na Mönch (4099 m) przez nos lodowy Nollen.

Może komuś wydać się nudne to wyliczanie szczytów, ścian, grani, dat i nazwisk, ale dla mnie byli to moi koledzy, którzy tworzyli klub, który był moim klubem, z mojej krwi i kości i potu słonego, który nierazko zalewał mi oczy przy pokonywaniu i przełamywaniu bzdurnych trudności stwarzanych przez tych życzliwych, którzy sami nie potrafili wznieść się ponad przeciętność i tęże przeciętność kompensowali co najmniej obojętnością, jeśli nie cichą, zawistną pogardą. Ale takich ludzików nie trzeba siać, sami się rodzą na kamieniu i żeby to tylko na kamieniu...

Dla mnie sukcesy moich klubowych towarzyszy od liny były też i moimi własnymi sukcesami. Patrzyłem z ogromną radością, jak to oni z turystów typu karpackiego przekształcają się w alpinistów samodzielnych, dla których klasyczny repertuar wielkich dróg alpejskich stawał się z roku na rok, z sezonu na sezon, coraz bardziej osiągalny.

Radowałem się każdym ich sukcesem, bo to przecież my dwaj z Maciejem stworzyliśmy dla tych ludzi możliwość alpinizmu prawdziwego i otworzyliśmy szerokie przestrzenie lodowców, słońca, burz i piorunów, wichru i ciszy tych ogromnych gór, trudnych, a przez to wspaniałych.

Muszę też przyznać, że wiele osiągnięć moich kolegów było, tak pod względem rozmachu jak i stylu, osiągnięciami tej miary, iż mogło być bez przesady okrasą każdej z pięciu wypraw w Alpy zorganizowanych w okresie międzywojennym przez Klub Wysokogórski dla czołówki polskich alpinistów.

Już na dorocznym walnym zebraniu 12 grudnia 1943 roku zatwierdzono projekt odznaki klubowej, oraz wydawania kwartalnika „Taternik”.

Ustanowiono tę godność członka honorowego KWW. Jako pierwszy otrzymał ją naturalnie pułkownik Herman Siegrist.

W ten sposób Klub Wysokogórski Winterthur stał się klubem z prawdziwego zdarzenia, ponieważ miał już wszelakie atrybuty jakie przystoją poważnemu klubowi: był prezes, zarząd członkowie honorowi, siedemnastu zwyczajnych, odznaka klubowa, własny organ, kasa i trochę komunalnego sprzętu.

Czegoż więcej trzeba do szczęścia? W latach 1944-1945 ukazało się pięć numerów naszego „Taternika KWW” i gdy dziś biorę te zeszyty z okładkami wykonanymi przez Zbyszka Bema, to z ręką na sercu mogę stwierdzić, że jako redaktor „Taternika KWW” nie muszę się wcale wstydzić tego jeszcze jednego grzechu mojej młodości.

Oprócz „Taternika” wypracowaliśmy sobie dostęp do periodyku Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego „Die Alpen”, w którym dzięki przyjaźni i przychylności ówczesnego redaktora h.c. Maxa Oechslina mogliśmy zamieszczać przeróżne polonica, co też nie było nie bez znaczenia, jeśli chodzi o propagowanie polskiego alpinizmu od czasu wejścia Antoniego Malczewskiego na Mont Blanc w 1818 roku aż po nasze winterthurskie poczynania.

Nie można też nie wspomnieć o działalności odczytowej. Zapraszaliśmy do nas interesujących prelegentów, jak profesora Antona Krupskiego, Szwajcara - potomka Sybiraka, pułkownika GSC Trenchy - oficera łącznikowego amerykańskiej wyprawy na K2 (8611 m) w Himalajach z roku 1939. Arnolda Vogta z Zurychu z wspaniałymi przeżyciami, czy też K.R. Schäfera o dziejach schronisk na Matterhornie.

My też prowadziliśmy akcję odczytową na szeroką skalę. Tu muszę odnotować swoje referaty na temat polskiego alpinizmu i narciarstwa wygłoszone w Akademickich Klubach Alpejskich w Bernie i Zurychu, oraz w Ski-Club Basel.

W sumie nasza propagandowa działalność była nie tylko szeroko zakrojona, ale też i wielce owocna, gdyż łatwiej do świadomości i przekonania Szwajcarów trafiały nasze

alpinistyczne osiągnięcia, niż przekonywanie, że Chopin był Polakiem. Porównanie szokujące, ale trafne w sytuacji, gdy nasi szwajcarscy znajomi zapytywali z reguły i bez wyjątku, czy my wogóle jakieś tam góry w Polsce mamy, gdyż o czymś takim jak Tatry nikt nigdy w życiu nie słyszał.

Tak więc nasz obozowy kolega, strzelec Aleksander Kagan, dawał w Winterthur chopinowskie recitale, a my w górach pokazywaliśmy co potrafimy, w sumie piękno uzupełniane było nadobnym, ku chwale i sławie...

Rok 1945 był dla mnie rokiem wspaniałym i niezrównanym pod każdym względem.

W lutym w Urnäsch wygrałem konkurs skoków o Akademickie Mistrzostwo Zurychu, a na przełomie marca i kwietnia wchodziłem w ciągu sześciu dni na pięć czterotysięczników w Wallis.

Na początku czerwca zdaję u Bleulera psychiatrię, ostatni mój egzamin dyplomowy i tego samego dnia składam w dziekanacie Uniwersytetu Zuryskiego swoją pracę doktorską.

17 czerwca przechodzę z Maciejem północno-zachodnią ścianę Tödi-Sandgipfel (3390 m), a 12 lipca Rötifirn Couloir na Glarnet Tödi (3582 m).

20 lipca przynosi nam dziesiąte przejście drogi Welzebnacha na północnej ścianie Dent d' Hérens (4171 m), a w trzy dni później przechodzimy drogę Kluckera na północno-zachodniej ścianie Lyskamm (4527 m).

Mój dyplom lekarza uzyskany w ramach Obozu Uniwersyteckiego Winterthur nosi datę 31 lipca 1945.

5 sierpnia dokonujemy z Maciejem drugiego przejścia drogi mego przyjaciela Paula Schafflützela na północno-zachodniej ścianie Tödi-Piz Rusein (3620 m) i to w rekordowym czasie 5 godzin 45 minut w porównaniu z 10 godzinami pierwszego przejścia.

Na jesieni zdaję uzupełniające egzaminy i 15 listopada 1945 roku otrzymuję dyplom lekarski Uniwersytetu Zuryskiego.

Mój doktorat zuryski nosi datę 11 lutego 1946.

20 sierpnia 1945 zacząłem pracę w Klinice Chirurgicznej Szpitala Kantonalnego Winterthur pod kierunkiem profesora Otto Schürcha.

W klinice tej pracowałem w charakterze asystenta-wolontariusza przez dwanaście miesięcy, od 8 rano do 8 wieczór, bez żadnego wynagrodzenia. Pracą w klinice byłem tak zafascynowany, że nawet nie dostrzegłem jak ucieka czas.

19 sierpnia 1946 dano mi zoperować mój pierwszy wyrostek robaczkowy.

W nocy zapakowałem swój skromny dobytek, a na drugi dzień 20 sierpnia 1946 roku, po sześciu latach i dwu miesiącach spędzonych w Szwajcarii, wyjechałem do kraju.

Ale jeszcze na wiosnę, 20 kwietnia, dane mi było wejść z Maciejem na Gross Fiescherhorn (4048 m) i Hinter Fiescherhorn (4025 m), a 21 kwietnia na Finsteraarhorn (4273 m).

Podczas tego ostatniego wypadu w Bener Oberland uratowaliśmy wspólnie jednego Szwajcara, wyciągając go ze szczeliny lodowcowej, w którą wpadł 10 metrów głęboko, a w schronisku Finsteraarhorn-Hütte nastawiłem zwichnięcie barku u przygodnie napotkanego alpinisty.

Było to pożegnanie z Berner Oberlandem.

Maciej Mischke napisał później jakżeż pięknie:

„Żegnaliśmy Alpy, które stały się drogą naszemu sercu. Los był dla nas łaskawy, pozwalając uganiać się po szczytach za mirażem szczęścia. Żegnaliśmy Alpy z żalem za odniesionymi zwycięstwami, ale bez żalu za poniesionymi porażkami, gdyż właśnie marzenia nie spełnione są marzeniami najpiękniejszymi”.

Dziękuję ci Macieju! Dziękuję za te słowa i za te lata spędzone razem na wspólnych marzeniach i porażkach.



Górami pisane ²

O tym jak
Władek Trebunia-Tutka,
nas podhalański Platon,
tłumaczył dusy Władka Pilarcyka z Orawy,
ze sie jej śmierć nie chyto

Razu jednego prziseł ku nasemu podhalańskiemu Platonowi niejaki Władek Pilarcyk z Orawy, coby sie spytać, jako sie rzecy majóm z dusóm. Mioł ci ón ze swojóm dusóm kłopot niemały. No bo óna sie mu kryła. Przed nim samym sie kryła. Casym widziała mu sie, jak ta gmla, co z gemby wychodzi, a pote sie w powietrzu traci. Zaś inksym razem jak tyn dzwon, co w piersi bije, a pote cichnie.

Nie dość tego, bo byli tacy, co śpiewowali: „Ona wysła na drabine, jo uwiadził odrobine, jo se myśloł, że to dusa, uchylyłek kapelusa”. No i kaz je ta dusa? A Władus jedno wiedził: kie nie wiec, że mos duse, to jakbyś ni mioł dusy. Z dusom jak z babom: coby jóm mieć, musis wiedzieć, że jóm mos. A górolowi całkiem nie pasuje bez dusy. I to nieśmiertelnej! Tak cuł Władek Pilarcyk.

A nas umielowany Platon tak zacon:

- A to co? - wyciągnón rękę i palcyma pokazował wode.

A Władziu na to:

- Woda, Biało Woda. Na to Platon:

- Cym ty widzisz, ze to jest Biało Woda? Zaś Władziu:

- Okiem, uchym, gorzcióm, kie jóm chcym chycić. Zaś Platon:

- Okiem to ty widzisz barwę, widzisz jako płynie i się łysko, uchym chytos sum. Gorzcióm cujes, że jest zimne, abo ciepłe... Ale czym ty się dowiadujesz, że to jest Białe Woda, a nie Białka, Dunajec, nie Lepietnica?

Podumował nas Władziu chwile i pedzioł:

- Wyim, rozumym!

Ucieszył się nas Platon z takiej odpowiedzi i Władzia pokwolył:

- Bedóm z ciebie ludzie. Bo przecie dorozumieć się tego można, że trza odróżnić dwa poznanie: jednym poznajes to, co się bez ustanku przemienia, a drugim to, co jest wiekuiste. Pirse to zmysły, drugie to rozum.

Władziu przykwolył:

- Nejsći trza. Jedno to zmysły, a drugie to rozum.

I zaraz Władziowi świat zaczął się dzielić na połę - na to co się zmienia, i na to co wiekuiste. Patrzysz i rozumiesz, rozumiesz i patrzysz. Rozumiesz: to jest drzewo, to jest smyrtek, to jest baba, to jest chłop. A co widzisz? Do końca świata byś musiał opowiadać, co widzisz, a i tak byś tego nie opedzioł, bo by ci się furt przemieniało. Inaczej przy słońku. inaczej przy dyscu, inaczej rano, inaczej w południe. Świat się dzieli na dwa światy: dzisiejsy i wiekuisty.

Kie się już Władziowi świat dokładnie podzielił, dopiero obezwolił się nas podhalański Platon:

- Kie dusza poznaje to, co wiekuiste, to sama też musi być wiekuista, bo jakby nie była, to by tego nie poznawała. A kie jest wiekuista, to śmierć się jej nie chyto.

I wtedy objawiła się Władziowi Pilarcykowi jego włosno dusza. O tego czasu nie ino miał dusę, ale i wiedział ze jóm mo. Tak że miał jom jakby podwójnie. A inksi Orawcy podobnie. Ale nie wszyscy, bo byli tacy, co go nie słuchali. Ci podwójnie dusy ni mieli.

Bo z dusom jak z babóm: jak mos babe, a nie wiysz ze jóm mos, to baby ni mos podwójnie. Po pirse nie mos, bo nie wiysz, że mos, po drugie nie mos, bo inksi jóm majom za ciebie.



². Ks. Józef Tischner - „Filozofia po góralsku”.